

Legandy Warszawskie

Opman



calibre 0.8.24

Artur Oppman

Legendy Warszawskie

Noc srebrna śniegiem, wiatr mroźny dmucha,

Na skrzypcach zimy gra zawierucha,

Kłębami śniegu w okna uderza,

To coś zaszepecze, jakby z pacierza,

To się rozjęczy nutą żalosną,

Jakby tęskniła za cudzą wiosną,

To znów na chwilę płacz swój uciszy

I gwiazd milionem błysnie w tej ciszy.

Jakże to miło w wieczór zimowy

W ciepłe zacisznej siedzieć alkowy;

W piecu się ogień dopala właśnie,

W ciemnej czeluści mignie, to zgaśnie,

Sypie iskierki czerwone, złote,

W sercach nieznaną budzi tęsknotę

Za czymś minionym, za czymś dalekim,

Za dawnym światem, za dawnym wiekiem.

Zimową nocą w alkwie starej

Umarłych czasów snują się mary,

W wielkim fotelu, sprzed stu lat może,

Wszłuchał się dziadus w zamieć na dworze,

Jakby ustami jakiegoś ducha

Głos mu wichury gada do ucha,

O tym co było, co się prześniło,

co już – od kiedy! — śpi pod mogiłą...

I nagle dziatwa przypadnie z wrzawą:

— Powiedz nam, dziadziu, bajkę ciekawą!

— Jak szedł Twardowski do piekieł bramy?

— O, nie, dziadziusiu! Znamy to, znamy!

— Więc o Madeju, co zbrodnie knował?

— Ach wiemy: Madej odpokutował!

— To o Kopciuszku w zgrzebnej odzieży?

— Na pamięć umiem, niech dziadzius wierzy!

— No, to już nie wiem, co rzecz w tej sprawie!

— Powiedz nam, dziadziu, o... o Warszawie!

Pochylił dziadzius głowę zmęczoną,

Ale mu w oczach iskry zapłoną,

Strudzone serce mocniej kołata,

Bo swej młodości przypomniął lata:

Jak to w ulicach starej Warszawy

Gonił za widmem rycerskiej sławy,

Jak każda cegła, każdy gład w murze

Wskrzeszały przeszłość w złocie, w purpurze.

Na szarej Wiśle, na mętnej fali

Piosnka syreny ulata w dali,

W zapadłych w ziemię lochach zwaliska

Zły bazyliszek ślepiami błyska,

Męczeńska Praga krwią się zaląa,

W królewskim zamku lka Dama Biała...

A nad główkami dzieciaków grona

Cudowny Chrystus wznosi ramiona...

Dali mu malcy myśl do gawędy:

Starej Warszawy stare legendy...

KONIEC ROZDZIAŁU

Syrena

– A widzieliście ją, tę syrenę niby, kumie Szymonie?

– Widzieć nie widziałem, kumie Mateuszu, bo drzewa przesłaniały źródło, a bliżej podejść bałem się jakości, alem słyszał, jak śpiewa.

– Alboż to syreny śpiewają?

– Jakże to? Nie wiecie o tym, kumie Mateuszu? Śpiewają! Jak jeszcze! Głos to ci się tak rozchodził po Bugaju, po Wiśle, hen, aż za rzekę, jakoby właśnie dzwonek srebrzysty dzwonił. Słuchałbyś dniem i nocą.

– No, i co dalej? Co dalej?

– Ano, nic dalej. Słuchałem, słuchałem, lubość mi się jakowaś rozpląwała po kościach, aż w końcu śpiewanie ucichło: widać syrena schowała się na nocleg w źródle, bo już i słońce zachodziło, a ja powlokłem się do chaty, alem całą noc spać nie mogł, inom o tej syrenie rozmyślał.

– Ciekawość! Warto by ją wypatrzeć, zobaczyć.

– Ale jak? Toć, jeśli nas ujrzy, umknie i skryje się w wodzie. A zresztą może to i grzech przyglądać się takowej stworze niechrzczonej i kuszącego jej śpiewania słuchać.

– Grzech nie grzech – niewiada! Najlepiej zapytać o to ojca Barnaby, pustelnika. To człek mądry i pobożny; on powie i nauczy, co czynić nam należy.

– Rzetelnie mówicie, kumie Mateuszu, chodźmy do pustelnika Barnaby.

– Ano, to i chodźmy! Ryby przez ten czas z Wisły nie uciekną, a my się od duchowej osoby przerożności dowiemy.

Tak rozmawiali z sobą dwaj rybacy znad Wisły w owych zamierzchłych czasach, gdy na miejscu dzisiejszej Warszawy, a właściwie jej Powiśla, leżała niewielka rybacka osada, otoczona gęstymi lasami, w których roilo się od grubego zwierza: łosiów, turów, wilków i niedźwiedzi.

II

– Więc powiadacie, że śpiewała?

– A juści! śpiewała; gadałem przecie.

– A co dnia! Jak tylko słońeczko Boże ma się ku zachodowi i czerwienią a złotem pomaluje Wiselkę, wraz ci się na Bugaju jej piosenka rozlega.

– I długo też nuci?

– Do zachodu. Jak się ino ciemno robi na świecie, już jej nie słyhać.

– To nocami nigdy ze źródła nie wychodzi?

– Czy wychodzi, czy nie wychodzi, tego ja nie wiem, ale przepomniałem powiedzieć, że w pełnię miesiąca też śpiewa. Nieraz mnie ze snu budzi blask księżycowy, co do chałupy zagląda: siadam se na posłaniu, aż ci tu odgłos jakowyś dolata z daleka; jakby skowronek, jakby dzwonek, jakby skrzypeczki lipowe: to ona.

– O to mi chodziło właśnie. Więc trzeba tak zrobić...

Tu ojciec Barnaba zadumał się na długą chwilę, a obaj rybacy czekali w skupieniu, aż namyśli się, co poradzić.

Ojciec Barnaba był to starzec wysoki, chudy, siwobrody, łysy jak kolano, odziany w długą samodziałową opończę. Na pomarszczonym jego obliczu rysowały się powaga i dobroć.

Wszyscy trzej siedzieli przed budką pustelnika na ławie, uczynionej z dwóch pieńków, na których położono z gruba obciosaną deskę. Było to lipcowe popołudnie i cudnie było w boru, pachnącą żywicą i kwiatami. Ptaki śpiewały radośnie, pszczoły wesoło brzęczały, a zielony dzięcioł w czerwonym kapturku stukał dziobkiem, jak młotkiem, w korę rozłożystego dębu i wydłubywał robaki.

A ojciec Barnaba namyślał się, namyślał, aż rzecze: – Więc trzeba tak zrobić: w pełnię miesiąca wybierzemy się we trzech do źródła; na odzienia nasze naczepić należy gałęzi świeżo zerwanych, najlepiej lipowych, kwiatem okrytych, żeby syrena człowieka nie poczuła, bo się nie pokaże; zaczaimy się przy samym źródle, a gdy wynijdzie i śpiewać zacznie, wtedy zarzucimy na nią sznur, spleciony z cienkich witek wierzbowych, święconą wodą skropiony, ile że takiego się żaden czar nie ima; zwiążemy i miłościwemu księciu na Czersku zawieziemy w darze. Niech ją na zamku trzyma i niech mu wyśpiewuje.

Ale uszy woskiem musimy sobie zatkać, żeby jej narzekań i lamentów nie słyszeć, bo inaczej serce w was tak zemdleje, że nie będziemy mieli mocy wziąć jej w niewolę. Srodze jest żałośliwe syrenie śpiewanie.

– Tak jest, jak mówicie, ojcze Barnabo; wiem ci ja o tym bom te piosenki słyszał. Żaden miód, by

najprzedniejszy, tak człowieka nie upoi, jako on głos syreni. Więc tedy do pełni miesięcznej?

–Tak jest, do pełni.

I rozeszli się w swoje strony. Rybacy nad Wisłę do zarzuconych sieci, a ojciec Barnaba na modlitwę.

Tam, gdzie dziś nad samym prawie wybrzeżem Wisły, poniżej starożytnych kamienic Starego Miasta, rozciąga się ulica, Bugaj zwana, przed wielu laty szumiał las zielony, odwieczny.

W lesie tym, z pagórka, wznoszącego się nad rzeką, tryskało źródło i rozlewało się w głęboki, bystro płynący potok.

Nad potokiem rosły białokore brzozy, wierzby pokrzywione maczały w nim długie gałęzie, kwitnęły polne róże i niezapominajki haftowały niebieskimi kwiatami zielony traw kobierzec.

W tym to potoku mieszkała właśnie syrena.

Była piękna, pogodna noc miesięczna. Srebrzysta pełnia żeglowała przez błękitne, usiane gwiazdami niebo i przyglądała się ziemi uśpionej, lasowi i źródłu.

Ale w lesie nie wszyscy spali.

Zza brzóz i wierzb, stojących nad potokiem, widać było trzy skulone postacie. Przycupnęły one wśród krzaków gęstych i ciekawymi oczyma spozierały w wodę potoku, mieniącą się srebrzyście od blasków tarczy miesięcznej. Byli to dwaj rybacy, Szymon i Mateusz, i pustelnik, ojciec Barnaba.

Nagle z wody wynurzyła się przecudna postać. Była to dziewczica nadziemskiej urody; w świetle miesięcznym widać ją było doskonale. Miała długie kruczoczarne włosy, pierścieniami spływające na białą, jak z marmuru wyrzeźbioną szyję; szafirowe jej oczy, wzniesione ku pełni, patrzyły dziwnie przejmująco i smutno, a ozdobiona lekkim rumieńcem twarzyczka takim tchnęła czarodziejskim urokiem, że przyglądającym się jej rybakom aż serca zamarły ze wzruszenia.

Syrena chwilę trwała w milczeniu, zapatrzona w niebo i gwiazdy – i oto w ciszy tej czarownej nocy zadźwięczał śpiew tak piękny, tak kryształowo czysty, że zdawało się, iż i księżyc, i gwiazd miliony, i ziemia, i niebo zasłuchały się w niego do niepamięci.

Wtem z krzaków, cicho, bez szelestu, wyskoczyły owe trzy postacie – i nie tak szybko rzuca się ryś drapieżny na przebiegającą łanię, jak oni rzucili się na syrenę, skrępowali ją powrośłem, z witek wierzbowych splecionym, i wyciągnęli z wody na murawę.

Próżno się szamotała nieszczęsna, próżno ich ludzkim a cudnym zaklinała głosem. Głos ten wzruszyć ich nie mógł, gdyż wedle rady ojca Barnaby, uszy mieli woskiem szczelnie zatkane.

–Co teraz począć? Co z nią począć? – jęli się pytać obaj rybacy zdyszany, gorączkowym głosem.

– Co począć? – rzeknie pustelnik – poczekajcie, zaraz wam powiem: Nim ją do Jego Miłości księcia na Czersku zawieziem, a wieźć przecież nie będziem po nocy, zamkniemy syrenę w oborze, a pilnować jej będzie Staszek, pastuch gromadzkiego bydła. Skoro świt zaś, wóz drabiniasty sianem wymościm i jazda do Czerska! Dobrze mówię?

– Dobrze mówicie, ojcze Barnabo, mądrze mówicie!

Miesiąc świecił już nad polanką, gdzie rybacy złożyli skrzepowaną syrenę, i widać ją było wybornie. Do pasa była to, jak się rzekło, panna na podziw urodziwa, od pasa zaś ryba srebrzystą łuską błyszcząca. Leżała biedna bez ruchu, z zawartymi cudnymi oczyma, ręce wzdłuż ciała opuściwszy, i tylko rybi ogon, długi a giętki, uderzał kiedy niekiedy w ziemię, zupełnie jak u wyjętego z wody karpia lub szczupaka.

– Czas nam w drogę – przemówił pustelnik – bierzcie ją!

Szymon i Mateusz dźwignęli syrenę i ponieśli ją w stronę wioski.

IV

– Otwieraj, Staszku!

– Otwieraj co prędzej! Cóż to? Zarznęli cię zbóje, że się nie ruszasz?

– Nie gramol się, gamoniu! Skorzej! Skorzej!

I rozległy się głośnie uderzenia krzepkich pięści Szymona i Mateusza we wrota obory, oni to bowiem, wraz z pustelnikiem Barnabą, dobijali się uporczywie do wielkiego drewnianego budynku, w którego ścianach, przez wyrzeżane otwory, widać było rogate łby i mokre pyski licznych krów.

– A co tam? Kto tam? Toć idę już, idę! A któż to tam tak łomocze po nocy? Pali się, czy co takiego?

Zaszurgotał ktoś bosymi nogami, odezwało się szerokie ziewnięcie, w ciemnościach niepewna ręka szukała zawory, znalazła ją, otwarła, skrzypnęły wrota i z mroku wynurzyła się gibka, młodzieńcza postać pastucha Staszka.

– Wszelki duch Pana Boga chwali! A czego to chceta, ojczy Barnabo i wy, Szymonie i Mateuszu?

– Cichaj! Syrena! O widzisz? Syrena! Złapaliśmy ją! Niechaj tu poleży do rana! O świcie do Czerska ją zawieziem, do księcia!

– Syrena? Jezusie, Maryjo! Prawda! Jakaż ona śliczna!

– Nie prawilbyś byle czego! Śliczna! Czarownica, wiadomo! Taka ci najcudniejszą postać przybierze, aby tym łacniej otumanić chrześcijańską duszę.

– Boże miły! Prawdę mówicie? To ona chrześcijańskie dusze tumani? I cóż ja mam z nią zrobić?

– Pilnować do zorzy! Ale pilnuj bez ustanku. Nie zdrzymnij się. Uważaj, żeby postronków nie zerwała, bo ucieknie.

– Ha! Każecie pilnować, to będę pilnował. A kiedyż po nią przyjedziecie?

– Mówilim. Skoro świt. Teraz ją położym w oborze, niech leży.

– A ty, Staszku, pamiętaj: oka z niej nie spuszczał! Patrz i patrz! Na twoją głowę ją zdajem.

– Już wy się nie bójta! Umiałem sobie dać rady z graniastym byczkiem, choć bezkurcyja zły jak sam diabeł, to i z syreną poradzę.

– No, to bywaj zdrowy! Będziem tu z powrotem, ino patrzeć!

Staszek został sam na sam z syreną. Leżała ona pod ścianą obory, na wprost jednego z otworów okiennych, w przeciwległej ścianie wyciętych, a Staszek siadł naprzeciwko i, tak jak mu kazali, patrzył na nią bacznie, i oczu z dziwowiska nie spuszczał.

Miesiąc świecił w ten otwór ścienny mocnym blaskiem i osrebrzał cudną twarzyczkę syreny, w której to twarzyczce jaśniały jak gwiazdy, modre, wilgotne od łez, przesmutne oczy.

I nie cniło się Staszekowi spojrzeć tak nieustannie na syrenę, bo nigdy nigdy, jako żyw, nie widział podobnie urodziwego lica i źrenic równie głębokich, przepastnych i czaru zaziemskiego pełnych.

I nagle – syrena spojrzała na Staszka swymi czarodziejskimi oczami, uniosła przepiękną, opierścienioną zwojami czarnych włosów główkę, otworzyła koralowe usteczka i zaśpiewała.

Zaśpiewała jakąś piosenkę bez słów, piosenkę tak cudną, że drzewa za oborą przestały szumieć, a krowy łby ciężkie od żłobów zwróciły w jej stronę, żuć przestały i zasłuchały się w oszałamiającą pieśń syreny.

Staszek był na wpół przytomny. Jak żyje nie słyszał nic podobnego. Śpiew syreny grał na jego sercu tak, jak gra wiosna na sercu każdego człowieka. Uczuł, że dzieje się z nim coś dziwnego, że jest jakiś lepszy, jakiś mądrzejszy, że otwierają się przed nim światy, o których nigdy dotychczas nie pomyślał, światy pełne aniołów i cudów.

A syrena nagle spojrzała wprost w oczy Staszka i rzekła: – Rozwiąż mnie!

Nie zawahał się ani na chwilę. Podszedł ku syrenie i kozikiem rozciął krępujące ją postronki.

A dziwowisko ślicznymi rączkami objęło go rękami za szyję i szepnęło: – Otwórz wrota i chodź za mną.

Usłuchał. Otworzył wrota na ścieżaj i czekał, co się stanie.

Nie czekał długo. Syrena uniosła się ze słomy, na której leżała, i skacząc na swoim rybim ogonie, przeszła przez wrota i skierowała się w stronę Wisły.

Szła i śpiewała. Krowy wyciągnęły za nią łby i poczęły ryczeć żałośnie, drzewa szumiały do wtóru piosence syreniej, a szumiały tak smutnie, aż niebo drobnymi łzami sypać jęło i zachmurzyło się ponuro. A Staszek, jak urzeczony, szedł za nią, szedł za nią bez woli, bez myśli.

Ustał deszcz, wyblysnęło słońce; z chałup wychodzili ludzie i ze zdumienia patrzyli na widok tak nadzwyczajny. A syrena szła i śpiewała.

A gdy już była tuż, tuż nad brzegiem Wisły, odwróciła się, spojrzała ku wiosce i zawołała na głos cały:

– Kocham cię, ty brzegu wiślany, kocham was, ludzie prości i serca dobrego, byłam waszą pieśnią, waszym czarem życia!

Czemuż wzięliście mnie w niewolę, czemuż chcieliście, abym w pętach, w więzieniu, na rozkaz książęcy śpiewała?

Śpiewam wam, ludzie prości, ludzie serca cichego i dobrego, ale na rozkaz śpiewać nie chcę i nie będę.

Wolę skryć się na wieki w fale wiślane, wolę zniknąć sprzed waszych oczu i tylko szumem rzeki do was przemawiać.

A gdy przyjdą czasy ciężkie i twarde, czasy, o których nie śni się ani wam, ani dzieciom i wnukom dzieci waszych śnić się jeszcze nie będzie, wtedy, w lata krzywdy i klęski, szum fal wiślanych śpiewać będzie potomkom waszym o nadziei, o sile, o zwycięstwie.

A tu tymczasem, pędem od wioski lecą ku brzegowi obaj rybacy i pustelnik stary i krzyczą: – Łapaj, trzymaj, nie puszczaj!

Ale! Nie puszczaj!

Już ci syrena chlup! Do wody, a za nią w te pędy Staszek.

Skoczył, wychynął z rzeki, rozejrzał się dokoła, zawołał: – Bóg z wami!

I zniknął.

Minęły lata i wieki. Na miejscu wioski – miasto powstało, ludne, bogate, warowne.

A miasto owo, później stolica, na pamiątkę dziwnej przygody z syreną, wzięło ją za godło swoje, i godło to po dzień dzisiejszy widnieje na ratuszu Warszawy.

KONIEC ROZDZIAŁU

Kościół Panny Marii

Przed latami, przed dawnemi,
Pewien młynarz żył na ziemi,
A gdzie mieszkał? Prosta sprawa:
Tam gdzie stoi dziś Warszawa.
Domek miał nad Wisłą szarą,
Cieszył się koników parą,
Czwórką wołów pracowitych,
Kur i kaczek rozmaitych
Wielkim mnóstwem... A miał przytem
Młyn zapchany zawsze żytem
I pszenicą... Z tego zboża,
Ani długo, ani krótko,
Młynarz mąkę mełł bielutką
I sprzedawał aż za morza.
Dobrze płacił cudzoziemiec,
Anglik, Francuz, Szwed czy Niemiec
Za tę mąkę życiodajną
Taką smaczną choć zwyczajną.
Polskie zboże zną parobcy,
Polski młynarz mąkę miele,
A z tej mąki mają obcy
Pszenny kołacz na niedzielę.
Więc nasz młynarz, z łaski nieba,

Że się trudił najgoręcej,
Miał dla siebie dosyć chleba,
Miał dla biednych jeszcze więcej;
A ponadto w kutej skrzyni
Co dzień się przybytek czyni.
Srebrny talar przy talarze
Leżą sobie w zgodnej parze,
Złoty dukat przy dukacie
Podzwaniają w cichej chacie.
Aż talarów i dukatów
Tyle razem się zebrało,
Ile wiosną w łąkach kwiatów –
I to jeszcze pewnie mało!
Od Warszawy ku Gdańskowi
Można nimi szlak wymościć...
Więc bogactwa młynarzowi
Mógłby księżę pozazdrościć!

II

Szumi stary młyn nad rzeką

I trajkoce, i terkoce.

Młynarz patrzy, hen, daleko

I w źrenicach łza migoce.

Taka piękna, taka młoda,

Siedzi w izbie młynarzowa,

Czemuż ćmi się jej uroda?

Czemuż smutna, gdyby wdowa?

Skąd ten smutek i tęsknota?

Skąd te w oczach srebrne łezki?

Gdy w alkierzu tyle złota,

Gdy tak jasny strop niebieski?

Są na niebie dla nich chmurki:

Ni im syna, ni im córki!

I cóż przyjdzie z bogactw w domu,

Choćbyś pereł wór zarobił,

Gdy zostawić nie ma komu,

Czego człek się pracą dobił.

Nic dziwnego, że się łzami

Zalewają młynarzowie,

Boć są sami, zawsze sami,

Czy w robocie, czy w alkowie!

Czy dzień zwykły, czy to święto,

Czy mrok idzie, czy blask świta,

Nikt ich buzią uśmiechniętą

Przez okienko nie powita.

Rozchylając ustek wiśnie

Nie zagwarzy , jak to dzieci,

I tatusia nie uściśnie,

I do mamy nie przyleci.

Głucha cisza w długie noce

I w dzień cisza na dom spada,

Tylko stary młyn turkoce

i z wiślaną falą gada.

Gdybyż w domku życia kwiecie:

Jedno dziecię! Jedno dziecię!

Po robocie całodzienniej,
Hołd złożywszy świętym Pańskim,
Spać się kładzie młynarz senny
W swoim domku nadwiślańskim.
A nim do snu się ułoży,
Przed obrazem kornie klęka,
Gdzie z Dzieciątkiem w glorii bożej
Przenajświętsza lśni Panienska.
I tak błaga, i tak prosi
O dziecinę dla swej chaty,
Ku niebiosom głos podnosi.
I duch w niebo mknie skrzydlaty.
Zda się płynie w pozaświecie
Swe zwierzając Bogu żale:
Daj mi, Panie, małe dziecię,
Bym je chował ku twej chwale!
Noc gwieździsta dookoła,
Szata mroku świat osnuwa,
A pod domkiem straż anioła
Nad snem dobrych ludzi czuwa.
Śpi nasz młynarz, utrudzony,
A wtem: Boże! Jakież cuda!
Czy to niebios sen wyśniony?

Czy to tylko zmysłów złuda?

W płaszczu modrym, jak niebiososa,

Cała w blaskach, gdyby zorza,

Jasnooka, złotowłosa

Przed nim staje Matka Boża!

A gdy pada na kolana,

Wskroś radością wielką zdjęty,

Głos jej słyszy: „Wielbij Pana,

Bo twój pacierz w niebo wzięty.

Wzięty w niebo, usłyszany,

Człecze dobry, pracowity,

Więc gdy wstanie świt różany

I wybłyśnie na błękity,

Idź po samym Wisły brzegu

Od swojego domku proga,

A gdy ujrzysz wzgórek w śniegu,

Zbuduj kościół na cześć Boga.

Bo ci mówię w tej godzinie

I nasz stwórca tak uczyni,

Że nim jeden rok upłynie,

Ochrzcisz synka w tej świątyni

W prawdzie, w szczęściu, w łasce Bożej,

Mając w sercu cnót promienie,

Twoje plemię się rozmnoży

Po dziesiąte pokolenie...”

Cudna postać się rozplywa,

Jak marzenie, jak mgła lekka,

Młynarz ze snu się porywa –

A już niebo świt obleka.

IV

Idzie młynarz Wisły brzegiem,
W śpiewem ptaków ranek gwarny;
Gdzież tu wzgórek kryty śniegiem,
Gdy na świecie lipiec skwarny?
Fale zboża wietrzyk wzdyma,
Słońko patrzy, świecąc cudnie,
Toć daleka jeszcze zima!
Toć na śniegi mroźne grudnie!
Ale w wierze niepożytej
Nie zawaha się na chwilę,
Bo, co spojrzy na błękity,
Coś mu w sercu szepce mile:
Niech cię trudność nie przeraża,
Kto nie sieje – ten nie zbiera,
Szczera wiara cuda stwarza,
Góry nosi wiara szczera!
Już przybliży się południe,
Nagle: istne dziwowiska!
Patrz, młynarzu, jakże cudnie
Bliski wzgórek srebrem błyska.
Na szczyt wzgórza młynarz bieży
I przyklęka oniemiały,
A tam śniegu obrus leży,

Obrus śniegu, zimny, biały.

Cud się spełnił z woli nieba,

Więc ku czci Jej nieustannej

Teraz prędko, prędko trzeba

Stawiać kościół Marii Panny!

V

Jakże pilnie się zwijają

Młynarzowi robotnicy!

Mija miesiąc – mury staja,

Biegnie w niebo krzyż świątnicy.

Mija drugi w pracy Bożej –

Już i wieża w górę pnie się;

Każdy tydzień coś dołoży,

Każdy tydzień coś przyniesie.

Młynarz złota nie żałuje,

Hojnie sypie dukatami,

Sam pomaga, sam pilnuje,

Sam się trzyma z murarzami!

Aż przyjemnie patrzeć na to,

Aż człękowi serce rośnie!

Przeminęło śliczne lato,

Jesień wiatrem łka żałośnie.

Lecz robota wre na brzegu,

Choć i deszcze z nieba cieką,

Tam gdzie widniał obrus śniegu,

Na pagórku ponad rzeką.

Mknie na Wisłę pieśń radosna,

Brzmi w tej pieśni Boża chwała,

A gdy przyszła nowa wiosna

I kwiatami świat ubrała,

W pewien złoty blask poranny,

W dzień Jej chwale poświęcony,

Staną kościół Marii Panny,

I zagrały wszystkie dzwony.

VI

Od kościoła w dzień niedzieli

Idzie orszak rozśpiewany,

To nasz młynarz się weseli,

Rad by prawie skoczyć w tany.

Uśmiechnięta młynarzowa

Dzieciąteczko śliczne tuli –

Niechże zdrowo im się chowa,

Niech ich kocha jak najczulej!

Wielkim szczęściem błyszczą oczy,

Duch wzwyż leci, szczęściem zdjęty...

Tak się spełnił sen proroczy,

W dawnych czasach wiary świętej...

KONIEC ROZDZIAŁU

Bazyliszek

W KUŹNI PŁATNERZA

W kuźni płatnerskiej imię pana Melchiora Ostrogi robota wrzała aż miło. Czeladzie pracowali nad wykończeniem przepysznej zbroi rycerskiej dla Jego Miłości pana kasztelana plockiego, a dwóch chłopaków dęło w wielkie miechy, podsycając ognisko w ogromnym kominie. W płomieniach purpurowych i złotych tego ognia sam we własnej osobie imię pan Melchior Ostroga, świetny mistrz sławetnego płatnerskiego cechu, trzymał w cęgach potężnych sztabę żelazną, aby ją za chwilę na miecz na kowadle przekować.

Miecz ten, wraz z pancerzem, z naramiennikami i nagołennikami, stanowił własnie całkowity rynsztunek bojowy, po który miał pan kasztelan dziś-jutro przyjechać.

A cudnaż to była zbroica! z najprzedniejszej stali, wypolerowanej jak zwierciadło, pokryta

nabijaniami ze szczerego srebra, z wizerunkiem matki Boskiej Częstochowskiej, prześlicznie w złocie wyimaginowanym, i z krzyżem husarskim na kołnierzu.

Miało to być prawdziwe arcydzieło sztuki płatnerskiej, i niepomątu chlubił się z nim już z góry mistrz Melchior.

W kąciuku kuźni, za wielką kupą żelastwa, bawiło się dwoje dzieci: czarnowłosego chłopczyk i złocistoloka dziewczynka. Było to rodzeństwo, dziatwa imć pana Ostrogi. Chłopczyk, jak to chłopczyk, rycerską znalazł sobie igraszkę: z kawałka cienkiego żelaza szablę krzywą niby-to turecką uczynił i w fechtę jął się wprawiać, jak żołnierz. Ale dziewczynka, zapatrzona z początku w szermierkę braciszka, znudziła się niezadługo, boć co tam panienkę wojowanie obchodzi.

– Maćku! – zawołała na brata – chodźmy już stąd na Rynek; w Rynku tak wesoło i gwarno, słoneczko świeci; pobiegamy, przyjrzymy się kramom i towarom.

– Czekaj no, Halszko, jeszcze ano kilka cięć krzyżową sztuką przypomnę i pójdę z tobą, kiedy chcesz koniecznie; choć mnie i w kuźni dobrze: tyle tu ciekawych rzeczy: kopij, kolczug, bułatów.

Machnął raz i drugi szabelką, cisnął ją na ziemię i zabierali się ku wyjściu.

Spostrzegł wychodzące dzieci mistrz Ostroga i przywołał je do siebie.

– A gdzie to, malcy?

– Na Rynek, tatuńciu.

– A po co?

– Popatrzeć, pobiegać, światu Bożemu się przyjrzyć.

– Zgoda. Ale uważajcie na siebie i na obiad się nie spóźnijcie do matki. I jeszcze jedno: niech was ręka Boska broni chodzić na Krzywe Koło do zburzonego domostwa. Niedobre sprawy się tam dzieją. Coś straszy, coś jęczy. Jeszcze by was, strzeż Panienko Najświętsza, złe porwało!

– Ja się niczego nie boję, tatuńciu! – zuchowato zawołał Maciek.

– A ja się wszystkiego boję, tatuńciu! – zapiszczała cienko Halszka – i nie pójdziemy!

– No, to bądźcie mi zdrowe, dzieciaki!

NA STARYM RYNKU

Na Rynku wrzask i harmider. Tłum w barwnych ubiorach krąży dokoła Ratusza, który dumnie wznosi się pośrodku placu. W Ratuszu na dole kramnice bogate, dostanie w nich czego dusza zapagnie. Tu sklepy ormiańskie z tkaninami tureckimi, haftowanymi złotem i srebrem, z dywanami perskimi i indyjskimi szalami; tam Szkot suknem i płótnem zamorskim handluje; ówdzie poważny Turek z długą brodą i z cybuchem w ustach zasiadł za ladą, na której figi, daktyle, rodzynki, bakalie przeróżne stosami się piętrzą, aż ślinka idzie, a jeszcze gdzie indziej Niemiec czy Holender zabawki ma takie, że aż oczy bolą patrzeć i chciałoby się mieć to wszystko na własność.

Maciuś i Halszka przewijają się wśród ludzkiej gromady zręcznie i szybko, jak dwa piskorze; sami nie wiedzą, na co spojrzeć. I to wabi, i to nęci. Wszędzie jest tyle piękności, że można by rok chyba cały po Rynku wędrować i jeszcze by się wszystkiego nie zobaczyło.

Aż ci tu nagle zahuczy bębenek, zaświszczy piszczałka, talerze blaszane zadźwięczą. Co to takiego? A to Cygan, czarnokudły, ciemny na gębie, uczonego niedźwiedzia na łańcuchu prowadzi. Cóż to za niedźwiedź! Boże miły! Wszystko umie, wszystko rozumie. Gada ci Cygan do niego jakimś łamanym językiem, z kiepska po węgiersku, a ten robi, co mu każą, ani się namyśli.

– Miszka! Ukłoń się ładnie jasno wielmożnym państwu!

Niedźwiedź się kłania.

– Miszka! Jak stare baby wodę z rzeki noszą?

Niedźwiedź dwa wiadra na drągu na plecach bierze i idzie taczając się z boku na bok, jak pijany.

– Miszka! Jak młode panienki na weselu tańczą?

I niedźwiedź nuż w podrygi a w łamańce. Boki zrywać ze śmiechu!

Gdy się tak Maciek i Halszka zwierzowi mądrymu przypatrują, z nagłą ktoś im ręce na oczach położył i ciekawy widok zasłonił.

– Zgadnijcie, kto to taki? – ozwał się głosik rzeźwy, wesoły, radosny.

– Waluś! Waluś! – ucieszyło się rodzeństwo – poznaliśmy cię od razu po głosie! Ale odsłoń no już nam oczy i spozierajmy razem na niedźwiedzia.

Odwrócili główki: jakoż był to istotnie Waluś Klepka, synek dziesięcioletek imć pana Pietra Klepki, bednarza z Zapiecka.

Waluś, dawny ich znajomy, miły i zabawny chłopczyk, jedną wielką miał wadę: urwis był z niego okrutny. Psocił i broił co niemiara; rady sobie z nim rodzice dać nie mogli. Obiecywał

poprawę, przyrzekał posłuszeństwo, ale gdzie tam! Za parę dni – co dni! – za kilka godzin znów jakąś sztukę wypłatał. Niewytrzymanie ludzkie z takim wiercipiętą!

Niedźwiedź odprawił swoje widowisko, Cygan do czapki sporą kupkę nazbierał szelągów, pomiędzy którymi gdzieniegdzie i srebrny grosz zabłysnął – i ruszyli dalej.

A ruszyli właśnie, jak na nieszczęście, w stronę Krzywego Koła.

Trójka malców powlokła się za gromadą, ale gdy przechodzili koło zwałisk odwiecznego domostwa, o którym płatnerz wspominał, Waluś zatrzymał Maćka i Halszkę.

– Poczekajcie – szepnął tajemniczo – coś wam powiem, coś pokażę.

– No co? No co? – zaciekawiły się dzieci.

– Oto to, żebyśmy zeszli po tych schodach, co widzicie, do piwnic starego domu.

– Co ty gadasz, Walusiu? – zawołała Halszka. – Jakże to można, choćby żartem, mówić o tym. Toćże tam straszy! Tatuś powiadali.

– Ehe! straszy, straszy... Bajki ze strachami! A ja wam mówię, że tam są skarby zaklęte.

Zazierałem w piwnicę wczoraj w południe, to powiadam wam, coś tak błyszczało, gdy słońko zajrzało do wnętrza, że aż mnie oczy zabołały. Ani chybi: złoto!

Maciek się zastanowił.

– A może by znijsć na chwilę, a skarby matusi i tatuńciowi przynieść. Toż by się ucieszyli!

Jak myślisz, Halszko?

– Ja nie znijdę! – rezolutnie zakrzyknęła Halszka. – Nie znijdę za nic na świecie!

– Och, ty mały tchórze! – zaśmiał się Waluś. – Nie schodź sobie, jeśli nie chcesz! My dwaj pójdziemy, prawda, Maciusiu?

I posunął się ku schodom, widniejącym z ulicy, a Maciek, że to był chłopak odważny i śmiały, za nim.

– Kiedy tak – na wpół z płaczem zawołała Halszka – to i ja pójdę; nie opuszczę cię przecież, braciszku! Niech się dzieje wola Boska!

– I nie pożałujesz, Halszko, pełny fartuszek dukatów ci nasypię. A teraz – schodźmy do piwnic.

I poszli.

W LOCHACH ZWALISKA

Schody były drewniane, połamane i zepsute, a niektórych stopni brakło już zupełnie, tak że trzeba było często skakać ze stopnia na stopień, pomijając otwierające się pomiędzy nimi luki.

Dość uciążliwa była to droga, zwłaszcza iż zaraz niedaleko od wnijscia załamywały się schody i ciemność ogarnęła Walka, Maćka i Halszkę.

Wprawdzie niewielkie światełko migotało w oddali: było to zapewne okienko piwniczne wychodzące na Brzozową, bo tyły domów z Krzywego Koła na tę właśnie ulicę miały widok, ale światełko to było dalekie i niepewne, ile że okienko musiało być brudne i pajęczyną zasnutę.

Waluś szedł przodem, o kilka kroków przed rodzeństwem; dobrej był myśli i podśpiewywał sobie wesoło, nie przeczuwał biedaczek, co go spotka za chwilę.

Tak idąc ostrożnie i pomału, zeszli nareszcie do lochu i znaleźli się w wielkiej, sklepionej piwnicy. Pod ścianami jej stały rozmaite rupiecie: stare okna, futryny, drzwi i różne nieużyteczne graty. Po prawej stronie piwnicy widać było, uchyloną nieco, żelazem okutą furtkę od dalszych zapewne lochów.

– Maćku! Halszko! – rzekł Waluś, a głos jego dziwnie ponuro zabrzmiał w głębokościach podziemia – kiedyśmy tu już zeszli, to idźmyż i dalej, spenetrujemy całe zwaliska, a skarb znajdzie się na pewno.

– Walusiu, mój Walusiu, proszę cię, chodźmy już na górę! – rzewliwie zawołała Halszka. – Co nam po skarbach! Wróćmy! Ja się czegoś lękam okropnie.

– I ja bym radził wrócić – poważnie rzekł Maciek. – Dalszej drogi nie znamy; kto wie, co może być za tą furtką? Rodzice i nasi, i twoi niespokojni będą. Czemuż ich martwić?

– A ja jednak pójdę i wy pójdziecie ze mną! – krzyknął zapalczywy Waluś. – Co mi tam wszystkie bajdy o strachach! O! raz, dwa, trzy! Już idę!

I powiedziawszy to, pobiegł do furty zamczystej, szarpną ją, otworzył – i nagle, jak piorunem rażony, runął na ziemię jak długi.

Co się stało?

Z otwartej czeluści drugiej piwnicy buchnęło zgnilizną i w zielonym świetle, przypominającym blask świętojańskich robaczek, Maciek i Halszka ujrzeni okropnego potworka. Był to niby kogut, niby wąż. Głowę miał kogucią i z ogromnym purpurowym grzebieniem w kształcie korony, szyję długą i cienką, węzową, kadłub pękaty, nastroszonymi, czarnymi pióry pokryty, i nogi kosmate, wysokie, zakończone łapami o ostrych olbrzymich pazurach.

Ale najstraszniejsze były oczy potwora: wyłupiaste, okrągłe, do sowych ślepiów podobne, jarzące się to czerwono, to żółto; oczy te, na szczęście, nie widziały Maćka i Halszki, utkwiała je bowiem

poczwara w ciało leżącego na ziemi i nieżywego już biednego Walusia.

– Bazyliszek – szepnął drżącym głosem Maciek – to bazyliszek, siostrzyczko; schowajmy się, schowajmy się czym prędzej!

I po cichutku, po cichutku, trzymając się za ręce, dzieci na paluszkach posunęły się ku ścianie i wśliznęły się za wielkie drzwi o mur prastary oparte.

W tym ukryciu, bezpiecznym na razie, Maciek począł szeptać siostrzyczce do uszka: – To bazyliszek! Słyszałem o nim od tatuńcia. Sroga to stwora! Na kogo spojrzy – wzrokiem zabije! Tak zabił Walusia. Stójmy tu cicho, Halszko, stójmy cichutko...

– Boże, mój Boże! – załkała Halszka – co to będzie? Co się z nami stanie? Po cośmy tu przyszli? Po cośmy tu przyszli? Ja chcę do domu!

– Uspokój się, siostrzyczko – szeptał Maciek – wrócimy do domu, jeśli Bóg pozwoli; ale teraz chodzi o to, żeby nas bazyliszek nie spostrzegł, bo jak zobaczy i spojrzy na nas – wszystko przepadło: umrzemy!

– Maćkuuuu! Maaaćku! Halszko! Halusiu! – rozległo się nawoływanie z ulicy. – Maaaćku!

Haaalszko! Gdzież wy jesteście? Obiad gotowy! Obiad gotowy!

Przerażone dzieci poznały głos Agaty, ale się odezwać nie śmiały.

Bazyliszek odwrócił łeb grzebieniasty, jeszcze straszliwiej najeżył pióra i jaskrawymi ślepiami spojrzął w stronę schodów.

Na schodach stanęła stara Agata, a za nią, w ulicy, widać było gromadkę mieszczanek i mieszczan.

– Tu zeszły, tu zeszły na pewno – ozwały się głosy na górze – musiały się zabłąkać w podziemiach! Nie schodźta, Agato, bo was jeszcze jakie licho zadusi!

Ale Agata, poczciwa stara służąca, już schodziła do lochu – i oto zaledwie zeszła na dół, zabrzmiał jej okrzyk, okropną trwogą wezbrany i głucha, posępna cisza zaległa znowu piwnicę.

To płomienisty wzrok bazyliszka uderzył w nieszczęsną i trupem ją na miejscu położył.

Gromadka sprzed schodów pierzchnęła w Rynek i w przyległe uliczki, roznosząc wieść okropną na miasto.

Skamieniałe z przerażenia rodzeństwo przytuliło się do wilgotnego muru, trzymając się konwulsyjnie za rączki, a bazyliszek rad ze zniszczenia, jakie uczynił, począł się przechadzać po lochu tam i z powrotem, tam i z powrotem. Wydostać się z piwnicy nie było sposobu!..

U CZAROWNIKA

– Pani Ostrożyno! Pani Ostrożyno! Dzieci wam przepadły! Dzieci wam w lochach zginęły!

– Jezusie! Maryjo! Co takiego! Co wy mówicie, ludzie? Gdzie? Jak? Gadajcie!

– Ano, polazły do piwnic na Krzywym Kole, i musi, bies im główki ukręcił, niebożętom!

– Chrystusie cudowny u Fary! ratuj! wspomagaj! – Skądże wy wiecie to wszystko?

– Widzieli szewczyki z przeciwka, jak dzieci z Walkiem od Klepki, schodziły w podziemia, a potem wasza Agata wołała je, wołała, aż zeszła do piwnic – krzyknęła okropnie – i już nie wyszła! Słyszeliśmy!

– Agatę ja posłałam, bo dzieci nie wracały. Boże wielkiego miłosierdzia, bądź miłościw mnie grzesznej! Co ja tu pocznę, nieszczęsna?!

W przedsienu uczynił się rumor i przedzierając się przez ciżbę wpadł do alkierza mistrz Melchior. Blady był płatnerz i drżący, bo już dowiedzia się był w kuźni o srogim ciosie, jaki go ugodził. A Maćka i Halszkę miłował ponad wszystko, ponad życie własne!

– Co robić, Malchrze, co robić? – biadała Ostrożyna. – Ratujmyż nasze maleństwa kochane! Ślubuję Ci, Panie Jezu, srebrne serce złożone pod Twoje nóżki najświętsze, jeno dopomóż nam w tym strapieniu!

Z gromady wysunął się sędziwy rajca miejski, imć pan Ezechiel Strubicz, mąż mądry i stateczny, znany całej Warszawie z dobroci i przywiązania do dziatwy staromiejskiej.

– Co robić? – powtórzył. – Ja wam poradzę, co robić: walcie jak w dym do czarownika na Piwną. Któż jak nie on lek znajdzie na waszą troskę skuteczny? On się zna na sprawach ziemskich i zaziemskich, boć to i doktor, i alchimista, i astrolog, i człek, co po uszy w księgach starych siedzi. Ba! skrzydła ponoć zmajstrował i nocami na nich po powietrzu lata.

– Walcie do czarownika! Walcie do czarownika! – wrzasnęła gromada. – On pouczy, on dopomoże! Dobra rada! Przednia!

– Najprzedniejsza – przytaknął strapiony rodzic. – Bóg wam zapłać, Strubiczu! Chodź, żono, idziemy na Piwną.

– I ja z wami – imć pan Strubicz na to – a nuż się jeszcze uda Maćka i Halszkę odszukać.

– Dajże to, Matko Boska Częstochowska – zapłakała Ostrożyna. – Niech się tak stanie!

Na Piwnej, na czwartym piętrze pod samym dachem wysokiego narożnego domu, mieszkał sławny i uczony doktor, dominus Hermenegildus Fabula, znany na dworze króla jegomości.

Nie był to, prawdę mówiąc, czarownik, tylko wielce znamienity lekarz i człek we wszystkich kunsztach i naukach wyzwolonych doświadczony. Jeno gmin warszawskich, widząc jego prawie cudowne kuracje i obserwując z daleka tajemnicze praktyki, mienił go, w prostocie swojej, być czarnoksiężnikiem, z mocami nadprzyrodzonymi mającymi ścisłą styczność. A że pan rajca Strubicz czarownikiem go nazwał, to jeno tak tylko, aby ludowi na poprzek nie stawać, który lubi rzeczy niezrozumiałe i rad ku cudowności się obraca, samą mądrość ludzką lekce sobie ważąc i zgoła posponując.

W obszernej komnacie o łukowym sklepieniu siedział za wielkim stołem, zawalonym księgami i pergaminami, człeczek maleńki, chuderlawy, wyschły, o licu pożółkłym, pomarszczonym jak pieczone jabłko; ale źrenice w tej twarzy ogromne, czarne jarzyły się jak pochodnie gorejące, a taką miały moc i potęgę te oczy, że gdyś w nie spojrział, zdawało ci się, iż na wielkoluda spojierasz i mimowiednie budziły się w tobie lęk, podziw i szanowanie dla tej niepozornej, a jednak imponującej postaci.

U sufitu komnaty wisiał wypchany krokodylek łokciowy, w kącie stała mumia egipska, na oknie w słojach rozlicznych pławiły się ropuchy, węże, padalce, robaki jakieś zamorskie. A wszędzie, gdzieś spojrział księgi, księgi, i księgi.

Gdy mistrz Ostroga z żoną i imć panem rajcą Strubiczem weszli do doktora Fabuli, ów podniósł oczy od foliantu, w którym coś czytał z ciekawością i zadowoleniem ogromnym, bo aż się uśmiechał radośnie, ale zobaczywszy wchodzących wstał, obciągnął swoją czarną szatę, co mu się pofałdowała na ciele, i spytał:

– A czego to waćpaństwo życzycie sobie ode mnie?

Tedy Ostrożyna z płaczem a narzekaniem wielkim opowiedziała całą sprawę, a gdy skończyła i chlapiąc błagać poczęła o pomoc i ratunek, dominus Hermenegildus Fabula tak rzecze:

– Wiem ci ja dobrze, co było przyczyną zguby waszmość państwa dziątek, bom właśnie w tej księdze o podobnych przypadkach traktat wertowałem. Oto, ani mniej, ani więcej, tylko stwórz najniebezpieczniejszy i najszkodliwszy na ziemi, który się zwie: bazyliszek.

– Bazyliszek? – zakrzyknęli w popłochu Strubicz, Ostroga i Ostrożyna – bazyliszek! Tedy już nadaremnie wszystkie trudy i starania nasze!

– Z trwogi waszej wnoszę, iż waćpaństwu wiadoma jest natura owego zwierza i to, iż on wzrokiem swoim wszelkie żyjące stworzenia zabija. Alić Bóg jest wielki i nadziei do ostatka tracić człekowi wierzącemu nie wolno. A choćby wreszcie i pomarły już dziateczki wasze, toć trzeba je wydobyć z piwnicy, aby przecie pogrzeb chrześcijański mieć mogły; bazyliszka zaś ubić należy koniecznie, boć niejedna jeszcze ofiara od ślepiów jego zabójczych na śmierć pewną pójdzie, ani chybi! Póki ta bestia przeklęta żywie, Warszawa spokojności nie zazna!

– Jakże to uczynić, mężu uczony? – zapytał Strubicz.

– Jakże to uczynić? Jakże to uczynić? – zawołają Ostroga i Ostrożyna.

– Jest sposób – odpowie Hermenegildus Fabula – jest taki sposób, jeno tak trudny i niebezpieczny, że nie wiem azali się znajdzie kto w tym tu mieście, co by się ważył na takie przedsięwzięcie.

Oto trzeba, aby do lochu zeszedł człowiek całkowicie obwieszony zwierciadły; gdy bazyliszek spojrzy w nie i siebie zobaczy, sam się własnym wzrokiem zabije, a tak uwolnilibyśmy od potwora i tę Warszawę umiłowaną i całą przesławną Rzeczpospolitą.

– Sposób jest dobry i pewny, ani słowa! – wyrzeknie Strubicz. – Ale skąd wziąć takiego śmiałka, co zdrową głowę pod ewangelię położy?

– Tak, tak – zajęknie Ostrożyna – nie ma już takich ludzi na świecie!

Nagle do komnaty Fabuli dobiegł ponury głos farnego dzwonu, a w ślad za tym przejmującym dźwiękiem ogromny gwar tysięcznego tłumu. Imć pan Strubicz wychylił się przez okno.

– Mam! Mam! – zakrzyknął radośnie – mam takiego człowieka! Kumie! Kumo! za mną!

– Bóg zapłać, uczony mężu! Bóg zapłać!

I już ich nie było w komnacie.

SKAZANIEC

Od Rynku w stronę Piekiełka zdążył ponury, choć jaskrawy orszak. Przodem szła straż miejska z halabardami, za nimi „bracia pokutnicy” w długich, ciemnych opończach, z twarzami osłoniętymi rodzajem maski sukiennej, w której wycięto jedynie otwory na oczy, dalej dostojnie stąpił imć pan pisarz miejski ze zwojem pergaminu w ręku, za panem pisarzem asysta z urzędników sądowych złożona, wreszcie dwie główne osoby pochodzą: skazaniec, niemłody już brodaty mężczyzna w nędznej odzieży, ze związanymi w tyle rękoma, i kat, olbrzymi, rosły drań, cały w czerwieni, z potężnym błyszczącym mieczem i z dwoma butlami, czyli pachółkami. Po bokach, z przodu i z tyłu orszaku cisnęło się mrowie nieprzeliczone warszawskiego pospólstwa, uliczników, urwisów i wszelkiej hałasty, ciekawej okropnego widowiska.

Już pochód stanął na placu, Piekiełkiem zwanym, gdzie pośrodku, na czarnym suknie, widniał pień, miejsce stracenia; już pan pisarz miejski odczytał nosowym głosem wyrok brzmiący: iż Jan Ślązak, krawczyk wędrowny, oskarżony o zabójstwo swego towarzysza podróży, na gardle ma być ukaran i mieczem ścięty; już skazaniec klęknął przy pieńku i głowę na nim położył, a kat mieczem straszliwym błysnął pod słońce, gdy nagle... gdy nagle imć pan Ezechiel Strubicz z mistrzem Ostrogą przedarł się przez stłoczone tłumy gawiedzi i tubalnym basem zakrzyknął:

– Stójcie! Stójcie!

– Kat miecz wzniesiony opuścił, skazaniec zadygotał całym ciałem, a pan pisarz miejski, zdjęte dopiero co okulary z powrotem na nos sążniste założywszy, niechętnie spojrzął na rajcę oczekując wyjaśnienia sprawy.

A imć pan Strubicz rozpoczął przemowę:

– Po pierwsze: w imieniu szlachetnego burmistrza miasta starej Warszawy rozkazuję wstrzymać egzekucję! Po drugie: natychmiast rozwiązać winowajcę! Po trzecie: zbliż się, Janie Ślázaku!

Zapytuję ciebie, Janie Ślázaku, któryś jest na śmierć osądzony i nic cię od niej ocalić nie może, azali zgadzasz się wniknąć do lochu, gdzie przebywa bazyliszek, i zabić oną bestię zjadliwą?

Jeżeli to uczynisz – wolny będziesz! To ci przez moje usta sam szlachetny burmistrz i cała wysoka rada miejska solennie obiecuje i przyrzeka.

Zdumiał się wielce imć pan pisarz miejski, zdumiało się pospólstwo, a skazaniec, wznosząc dziękczynnie oczy ku niebiosom, odpowie: – Zgadzam się, przezacny panie, zgadzam się tym łacniej, iż – Bóg mi świadkiem – nie winien jestem zarzucanej mi zbrodni i tak myślę, że łaska Pana Jezusa będzie ze mną.

Tedy nie omieszkując wiele, powiedli Strubicz i Ostroga skazańca na Ratusz, skąd obwieszono zwierciadły, zaprowadzono na Krzywe Koło i kazano mu znieść do podziemi.

Burmistrz, rajce, ławnicy i setki ludu czekały na ulicy, a przed wszystkimi, wpatrzeni chciwie w

otwór piwniczny, stali mistrz Ostroga, pani Ostrożyna i dobry rajca Strubicz. Upłynęła chwila – i oto w lochu rozległ się głos przeraźliwy: coś jakby chrypliwe pianie koguta, jakby świszczący syk węża, jakby śmiech diabelski, a takie to było okropne, że zgromadzonym aż ciarki przeleciały po grzbietach i włosy dębem na głowie stanęły.

– Zabity! Zabity! – zadźwięczał donośnie głos Jana Ślązaka.

– Zabity! – zahuczał tłum. – Bazyliszek zabity! – Wichrem pomknęła radosna wieść na Rynek, na Świętojańską, na Piwną, na Brzozową, na oba Dunaje: Szeroki i Wąski, i na całą starą Warszawę.

A na schodach piwnicznych ukazała się postać cała w lustrach, niosąca na ostro zakończonym drągu straszliwego potwora.

Porwał go kat z rąk dzielnego Ślązaka i na Piekiełku, na stosie ognistym, ku uciesze tysięcznego ludu, na popiół spalił.

Stało się wszystko tak, jak przepowiedział mądry doktor Hermenegildus Fabula: bazyliszek spojrział w zwierciadło i sam się wzrokiem swym jadowitym zatrzał i zabił.

Ale pani Ostrożyna, mistrz Ostroga i rajca Strubicz, wzięwszy zapaloną pochodnię, pędem pobiegli do lochu.

– Maćku! Halszko! – wołała matka. – Maćku! Halszko! – wołał ojciec – zaliście żywi?

Ozwijcie się! Gdzie wy! Gdzie wy?

– My tu, matusiu! My tu, tatuńciu!

I z ukrycia swego, zza wielkich drzwi, o mur prastary opartych, wybiegły dzieci i zdrowe, choć pobladłe jeszcze ze strachu, rzuciły się w objęcia rodziców. O, jakaż radość! O, jakież szczęście! Uściskom i pocałunkom końca nie było, aż imć pan rajca Strubicz, choć taki stary i mądry, płakał jak bóbr i od płaczu się zanosił.

Tak się skończyła przygoda z bazyliszkiem. Przypłacili ją życiem nieposłuszny Waluś i stara poczciwa Agata. Zwłoki ich, wydobyte z piwnicy, pochowano uroczyście, a rodzina Ostrogów nigdy o nich nie zapomniała. Co do mężnego Jana Ślązaka, to okazało się, iż on istotnie nie był winien zabójstwa swego kamrata; ten bowiem zjawił się niebawem w Warszawie i opowiedział, że zabłąkawszy się w boru, przebył w nim bodaj miesiąc z górą, aż go węglarze, drzewo w lesie wypalający, przypadkiem znaleźli i do Warszawy na dobrą drogę skierowali. Żaden bazyliszek już się więcej w mieście nie pokazał.

KONIEC ROZDZIAŁU

Chrystus cudowny u Fary

Był raz sobie prawowity Mazur,
Bitny wojak z dziada pradziada,
Gdy wróg Polsce pokazywał pazur,
On, bywało, na rumaka siada.
Goni w polu Turki i Tatary,
Oko w oko z poganem się zmierza –
A że człek był staroświeckiej wiary,
Nigdy w bitwę nie szedł bez kaplerza.
Na kaplerzu, co lśnił z napierśnika,
Swe Dzieciątko tuli Boża Macierz,
Gdy w namiocie wojak się zamyka,
Przed kaplerzem odmawia swój pacierz.
Wzlata w niebo duszą chrześcijańską,
Za nim jutro skoczy w boje krwawe,
I wspomina Farę Świętojańską,
Stare Miasto i starą Warszawę.

II

Tam, gdzie domy stoją jak w ordynku,
A każdemu jakiś znak dał snycerz,
W kamienicy „Pod niedźwiedziem” w Rynku
Owy dzielny przemieszkiwał rycerz.
Widać szarą wstęgę naszej Wisły
Z okien jego izdebki podniebnej,
To słoneczne blaski na niej błysły,
To ją księżyc opromienia srebrny.
Aż tu kiedyś, w wiosenne świtanie,
W pełnym kwiatów i piosenek maju,
W okna – trąbek uderzyło granie
I krzyk ludu: „Wojna! Turczyn w kraju!”
Co tu myśleć, mości panie, długo!
Dźwięczą szable, rżą bojowe konie;
Wojak wiernym był ojczyzny sługą,
Więc, jak inni, walczy w jej obronie.

III

Dni żołnierskich zmienne są koleje:

Sława błysnie, kulka żebra zmaca,

To się dobrze rycerzowi dzieje,

To się szczęście od niego odwraca.

Pod srebrzystym chorągwanym ptakiem

W mnogich walkach mężnie się potyka,

Aż raz runął z rozciętym szyszakiem

I w tureckie poszedł, biedak, łyka!

Jakże ciężko w pogańskiej niewoli

Swobodnemu cierpieć Polakowi;

Jak to serce od pęt wrażeń boli –

Tego żadnym słowem nie wypowie!

Niechby raczej zabiły go kule,

Niż ma szarpać poniewierka taka;

Nad Bosforem, w dalekim Stambule,

W utrapieniu płyną dni wojaka.

IV

Że Polacy do koni zwyczajni –
Naród ziemian i naród wojaków –
Służy Mazur przy sułtańskiej stajni
I arabskich pilnuje rumaków.
Konie śmigłe, jak wiatr, a rozumne,
A tak zwinne, jak panienka z tańca –
O, mój Boże! daj nim pójdę w trumnę,
Takim koniem zdeptać łeb pohańca!
Od świtania już na służbie swojej,
Co wojenkę na pamięć przywodzi,
Rycerz karmi, czyści je i poi,
Po podwórzu pałacowym wodzi.
A był jeden siwek między niemi,
Co jak pies się przypodobać umie,
Na grzbiet skoczysz – ledwo tyka ziemi
I jak człowiek głos ludzki rozumie.

V

Pędzą konie, co rano, aż dudni,
I co wieczór, gdzie je wojak poi,
A na placu przy stajennej studni,
Boże! Cóż to za figura stoi?
Aż się język w ustach onieśmiela!
Aż jak lodem krew się w żyłach ścina!
To Pan Jezus! To krzyż Zbawiciela!
Splugawiony ręką poganina!
Na znak wzgardy złe niewiernych dłonie,
Bijąc posąg ze złością przeklętą,
Do nóg Zbawcy przywiązują konie
I śmigają biczem przez twarz świętą.
Tak codziennie o świcie i zmroku
Czerń nad krzyżem znęca się szalenie,
Aż łzy, zda się, błyszczą w Bożym oku,
Aż pierś z drewna podnosi westchnienie.

VI

Jakże płacze Mazur prawowity,
Pełny wiary rycerz chrześcijański,
Nad bluźnierstwem, co bluzga w błękity,
Nad Postaci pohańbieniem Pańskiej!
Niżli patrzeć na te krzywdy Boże,
Żywym ogniem wolałby się spalić,
Aż już dłużej znieść męki nie może –
I krzyż musi od wzgardy ocalić!
Więc, odziany łachmany nędznymi,
W noc, co blaskiem gwiazd złotych nie płonie,
Pod krzyż biegnie – wydziera go z ziemi –
I w głąb studni krzyż ciska: niech tonie!
Niech on raczej zginie w czystej wodzie,
Niżby miał się wzdrygać od krzywd wielu –
O, Jezusie! Jużes na swobodzie,
Jużes teraz wolny, Zbawicielu!

VII

Cicho, cicho niewolnik szczęśliwy
Na sen wraca – już nic go nie boli,
A wtem zarży arabski koń siwy,
Jego wierny przyjaciel w niewoli.
I natchnienie w myśl więźnia uderzy,
Do powrotu mu drogę wskazuje,
I arabczyk już bieży, już bieży,
Rozdął chrapy ogniste: step czuje!
Dzień po dzionku przez kraje, przez obce,
Dzielny rumak jak burza przelata;
Aż graniczne widnieją już kopce
I znajomy, rodzinny kąt świata.
Twarz tu słońca, jak nigdzie, świetlana,
Kwiaty pachną, że tylko je zbierać!
To ojczyzna! To Polska kochana!
Gdzie żyć miło i miło umierać!

VIII

Siedzi wojak w starym domu w Rynku,

Z okna izby na Wisłę pogląda,

O swym zbożnym wspomina uczynku.

I krzyż tamten widzieć mu się żąda.

Noc mu owa przed oczyma stawa

I ucieczka z kraju tureckiego –

Aż tu krzykiem zahuczy Warszawa

I ku Wiśle tłumy ludu biegą.

Wyjdzie wojak z swojej kamienicy

I ku rzece przeciska się z trudem:

Tłum na Rynku, tłum w każdej ulicy

I pobrzeże wypełnione ludem.

Złotym słońcem goreją niebiosy

Nad Warszawą zatłoczoną ściśle,

Zewsząd słysząc zadziwione głosy

I wołania: „Cud! cud! cud! na Wiśle!”

IX

A na Wiśle, w tej rannej godzinie,
W blaskach słońca błyszczący wspaniale,
Krzyż Chrystusów przeciw wodzie płynie –
I pokorne całują go fale.
Wyszedł biskup w pozłocistej szacie,
Sam pan burmistrz i dostojna Rada,
Dźwięczy miasto w dzwonów majestacie
I dzwonami z modrym niebem gada.
Setki łódek po rzece śmigają,
Lecz dopłynąć nie mogą do krzyża;
Już zbliżają się – widać – zbliżają,
I znów fala odepchnie je chyża.
Czas ucieka na miejskim zegarze,
Kończy słońce swój obieg powrotny,
Sił próbują najlepsi wioślarze –
A krzyż płynie i płynie samotny.

X

Krzyż z niewoli poznał żołnierz stary.

Na brzeg biegnie, łązy radosne leje,

I przyklęka przed biskupem z Fary

I powiada z Turecczyzny dzieje.

Więc mu biskup do łodzi sięść każe,

Sam z Najświętszym siada Sakramentem;

O toń biją wiosłami żeglarze

I już – już są przed Obliczem świętem.

A gdy wojak wyciągnął swe dłonie,

By Chrystusa przycisnąć do łona,

Krzyż ku jego pochylił się stronie

I padł w swego obrońcy ramiona.

Widać z lica, że odtąd na wieki

Chce być Jezus z tym grodem w przymierzu

I szept wionął, jak tchnienie tak lekki:

„Błogosławię cię, polski rycerzu...”

XI

W całym mieście grają wszystkie dzwony,

Wszyscy ludzie weseli i radzi

I w triumfie naród zgromadzony

Krzyż Cudowny do Fary prowadzi.

Szumią z wiatrem cechowe sztandary,

Lśniąc, jak kwiaty, kolorami wiosny,

A Chrystusa niesie wojak stary,

Taki dumny i taki radosny!

I w kaplicy osobnej, w świątyni,

Co pamięta pierwsze grodu lata,

Mnogie cuda warszwianom czyni

Krzyż z figurą Zbawiciela świata.

My na jego opiekę się zdajem,

Nic nam wrogi i nic nam złe mary,

Póki czuwa nad miastem, nad krajem

Nasz Pan Jezus Cudowny u Fary!

KONIEC ROZDZIAŁU

Zbójcy

Dwieście lat temu Nowe Miasto warszawskie otoczone było wielkimi moczarami i gęstymi zaroślami, w których nierzadko ukrywał się zwierz dziki, tak że zdarzało się nieraz, iż mroźną zimą głodne wilki przybiegały na rynek nowomiejski i wyły po nocach przed jatkami rzeźników.

W czas takiej to właśnie zimy długotrwałej, w wieczór zawieruchą śnieżną dmący, do jednej z

gospód w pobliżu kościoła Panny Marii przywłókł się stary, obdarty, skulony z zimna dziad.

Rozejrzał się po izbie obszernej, o gościnę pokornie poprosił, że to – powiada – nie ma się gdzie schronić, a głodny jest taki, iż nogi go już nosić nie zdołają.

Choć żebrakowi źle jakoś z oczu patrzyło, miłosierni gospodarstwo nie odmówili mu przytułku. Jeść dali, pić dali i na ciepłym przypiecku przespać się pozwoli.

Włazł ci dziadyga za piec, postękał, pokwękał i po krótkiej chwili zasnął widocznie, bo jał chrapać aż grzmiało.

A że to noc już na świat boży zapadła, tedy i gospodarstwo, pobożnie odmówisz pacierze, do snu się ułożyli, a też i dziewczyna służebna, gdy statki zmyła i podłogę zamiotła, wlazła pod pierzynę do swojego łóżka i już, już sen jej padał na oczy, gdy nagle a niespodziewanie coś ją tknęło, coś jakby zaszeptalo: „Nie śpij, dziewucho, czuwaj...” Przełękła się dziewczynina, ale nic, czuwa, jak jej ten głos wewnętrzny rozkazał. Modli się po cichutku, w sobie, i czeka, co z tego będzie.

Minęła tak dobra godzina, a może i więcej, aż ci tu słyszy dziewczucha: ktoś się za piecem gramoli. Wyrzała jednym okiem spod pierzyny, niewiele widzi, bo ciemno, ale tak myśli, że to chyba dziad owy zza pieca wyłazi.

Jakoż tak było w istocie. Dziad to przybłęda na czworakach idzie cichuteńko, podszedł do stołu, podniósł się, świeczkę zapalił, postawił na stole i i rozejrzał się wokoło.

Panie Boże miłosierny! Straszne rzeczy! Dziadzisko już nie skulone, nie takie stare, jak się wydawało. Wyprostował się teraz, zogromniał jakoś, nóż długi a ostry w rękę trzyma, ślepie mu błyszczą jak wilkowi. Zbójca!

Dziewuszysko zatrzęsło się ze strachu, ale zaraz pomyślało sobie: jak zobaczy, że nie śpię, zabije mnie, trzeba leżeć cicho, ani tchnąć.

A wiedziała też dobrze dziewczyna, co to za świeczka taka: z trupiego łoju! Taka świeczka ma tę własność, że póki się pali, nikt ze śpiących w izbie ocknąć się nie może; obudzi się dopiero, gdy świeca zgaśnie. Okropność!

Rozejrzał się tedy ów zbójca, pomedytował chwilę i sunie bez szelestu, jak zły duch, naprzód do gospodarstwa, zobaczyć, czy śpią mocno?

Pochylił się nad nimi, a nóż wzniesiony w garści trzyma, popatrzył, posłuchał: spali.

Więc lezie pomaleńku, wprost ku łóżku dziewczyny służebnej. Uniósł pierzynę z jej głowy, przygląda się, a dziewczucha dech zataiła w sobie, ani drgnie. Coś się zbójowi w niej nie spodobało, coś widać, psi syn, zauważył takiego, że nie dowierza; schylił się, nasłuchuje, czy równo oddycha: równo.

Ehe! Nie taki on głupi! Nie dosyć mu na tym! Uszczypnął ją w policzek: nic! Wyciągnął

szpilkę z kapoty, ukłął: nic! Jeszcze mu mało!

Wrócił do stołu, wziął świeczkę, skrada się, a wciąż spoziera na twarz dziewczyny. No! nie ma co! śpi!

– Czekaj, bestyjo – powiada – albo ty śpisz, albo nie spisz; jeśli nie śpisz, to zaraz mi tu narobisz krzyku.

Stanął przy nogach łóżka i nuż bosc stopy służącej przypiekać oną świeczką z trupiego łożu. Przypieka, aż skóra skwierczy, aż bąble wyskakują. Dziewucha jak nieżywa: ani się ruszy.

– Śpi jak zarżnięta – mruknął zbójca. – Takiego bólu żaden człek bez wrzasku nie wytrzyma.

A ta dziewczyna taką siłę miała i taką wytrzymałość, iż ową mękę śmiało przeniosła, że to niby i jej gospodarstwa poczciwych od udawania, jako śpi, zależało.

Uspokoił się zbójca, stawia świeczkę na nowo na stole, a sam drzwi cicho, cichutko otwiera i myk na dwór, po swoich kamratów.

Ale już dziewczyna zerwała się z łóżka, na bałykach, bo chodzić nie mogła od bólu okropnego, do furty się dowlokła i żelaznym drągiem ją zawarła.

Jeszcze nie zdążyła wyniść z sieni, aż ci tu pięciu zbójów za drzwiami staje i chce furtę otworzyć.

Ale! gadaj mu tam! Otwieraj, kiedy zamknięte! A wyłamywać furtę bali się, bo kościół

blisko i hałas mógłby kto ze służby kościelnej usłyszeć!

Słyszysz dziewczucha, jak gadają:

– A mówiłeś, że otwarte. Czemuś nas zwiódł?

– Nie zwiódłem! Były otwarte! Ino wiem, jak się to stało: to ta szelma dziewczyna nie spała i furtę zawarła.

– Nie ona szelma, tylko ty szelma, żeś się nie poznał i dziewczuchy nie zarżnął!

– Ano, nie ma co gadać po próżnicy! Na nic dziś cała robota. Chodźmy do lasu! Ale dziewczusze przy okazji odpłacim!

Poszli. A służąca wstała, świeczkę czarodziejską zgasiała, zażegnała łuczywo, zbudziła gospodarstwo i opowiedziała im rzecz całą.

Chorowała długo, a gdy wyzdrowiała wreszcie, przeniosła się aż na Litwę, bojąc się zemsty owych zbójów przeklętych.

KONIEC ROZDZIAŁU

Złota kaczka

Był sobie szewczyk warszawski. Nazywał się Lutek. Dobre było chłopczysko, wesołe, pracowite, ale biedne jak ta mysz kościelna. Pracował ci on u majstra jednego, u majstra na Starym Mieście. Ale cóż? Majster jak majster, grosz zbierał do grosza, z groszy ciułał talary i czerwonce, a u chłopaka bieda, aż piszczycy.

Niby-to mu tam pożywienie dawał. Boże, zmiłuj się; wodzianka, kartofle – i tyle! I odział go, mówi się, ale ta przyodziewa spadała z Lutka, boć to stare łachy majstrowskie, co ledwo się kupy trzymały. Dość, że w takim stanie i pies by nie wytrzymał, a cóż dopiero człowiek!

Gadają mu: Miej cierpliwość, mityguj się, będzie lepiej, poczekaj ino!

Co to lepiej! Kiedy? Rok za rokiem mija, lata lecą, a tu wciąż nędza i nędza.

Znudziło mu się. Uciec chce. Do wojska – powiada – pójdę, żołnierzem będę, może się ta nowy Napolion gdzie zjawi, to jak nic marszałkiem zostanę, generałem wielkim, mocarzem.

No nic! cierpi jeszcze, czeka.

Aż ci tu kiedyś na wieczorynkę poszedł do czeladnika jednego, co się niedawno wyzwolił i wiodło mu się niezgorzej, bo grenadierskie buty szył, dla gwardii, dla panów oficerów.

Wieczorynka aż miło! Jedzą, piją, gawędzą. Ni z tego, ni z owego o bajkach się zaczyna, o takich podaniach warszawskich.

I mówi jeden stary szewc, kuternoga:

– Ho! ho! u nas w Warszawie i o pieniądź łatwo, i o sławę, tylko trza mieć odwagę i rozum we łbie jak się patrzy.

Zaciekawił się Lutek, pyta:

– Mówcie, co takiego?

– Ano nic – rzeknie kuternoga – na Ordynackiem, w podziemiach starego zamku, jest królewna taka, zaklęta w złotą kaczkę. Kto do niej trafi, kto ją przydybie – wygrał! Ona mu powie, jak skarby ogromne zdobyć, jak się stać można bogaczem, magnatem!

– I gdzie to, mówicie?

– Na Ordynackiem, w lochach starego zamczyska.

– A kiedy?

– W noc świętojańską.

Zapamiętał to sobie nasz Lutek, a do nocy świętojańskiej trzy dni trzeba czekać, nie więcej.

II

Wieczór spadł na gwarną Warszawę, gwiazdzisty, ciepły, czerwcowy. Na ulicy ludzi jak mrowia. Panienki takie śliczne spacerują, a przy nich kawaleria, młodzi panowie, a głównie wojskowi.

Tu ułan drugiego pułku, biały z granatem, tu strzelec konny gwardii w mundurze zielonym z żółtym, tu piechota liniowa, tu artylerzysta; hej! ostrogi dźwięczą, szable brzęczą, kity migają, aż lubo patrzeć!

Idzie sobie nasz szewczyk Lutek Krakowskim Przedmieściem, Nowym Światem, wszedł w Ordynacką, przeżegnał się: już blisko!

Spuszcza się Tamką, bo tam właśnie jest wnijsie do lochów ordynackiego zamczyska, idzie, lezie, ale mu coś niesporo.

Nie to, żeby się bał: niech Bóg broni! Nie lęka się on niczego; tylko tak jakoś, niełacno mu ze złym duchem może wejść w komitywę.

Ano trudno! Raz się zdecydował: wejść trzeba!

Od Tamki okienka nad licą dość nisko, szyb nie ma, ino kraty, ale taki chudzielec jak wąż się przeciśnie.

Jazda! Wdrapał się po wystających ceglach do okna, raz, dwa, trzy! W imię Ojca i Syna i Ducha Świętego! – Wlazł do wnętrza. Ciemno! Zapalił świeczkę – idzie. Korytarz długi, wąski, kręty, prowadzi niżej i niżej. Aż ci po kwadransie może takiej drogi wylazł szewczyk do piwnicy, wielkiej, sklepionej, z jeziorkiem jakiemiś pośrodku.

Przy mdłym świetle świeczki łojowej, którą trzymał w ręku, obaczył Lutek owo jeziorko – a na nim – Boże drogi! prawdę mówił szewc kuternoga: złota kaczka pływa, piórkami szeleści.

– Taś, taś! kaczuchno!

I nagle – z kaczki czyni się precudna dziewczica: królewna. Włosy złote do ziemi, usta jak maliny, oczy jak gwiazdy, a buzia tak cudna, że – klękajcie narody!

– Czego chcesz ode mnie, chłopczyku?

– Jaśnie wielmożna królewno – Lutek powiada – nic ci ja nie chcę, ino zrobię to, co ty chcesz, abyś rozkazała.

– Dobrze – odpowie księżniczka – tedy ci powiem! Uzyskasz skarby, jakich nikt na świecie nie ma i mieć nie będzie, panem będziesz, bogaczem, jeśli spełnisz, co do joty, to, co ci powiem.

– Słucham, jaśnie wielmożna!

– Oto masz kieszkę, w niej sto dukatów; przez dzień jutrzejszy musisz je wydać, ale tylko na potrzeby własne, dla siebie samego; nic ci z tego złota dać nikomu nie wolno, ni grosza!

Pamiętaj.

– Ha! ha! ha! – zaśmieje się Lutek – i cóż to trudnego? Będę jadł, będę pił, będę hulał!

Wydam sto dukatów – a co potem?

– A potem skarby niezmiernie otworem stać ci będą, kopalnie złota prawdziwe, bogactwa niezmierzone; ale pamiętaj: ni grosza nikomu!

– Zgoda, królewno! daj kieszkę!

Księżniczka kieszkę Lutkowi wręczyła, zaśmiała się jakoś dziwnie – i znikła.

Strach przejął szewczyka. Ledwo się do okna dogramolił, wylazł na Tamkę i smyrgnął na Stare Miasto.

Nazajutrz dzień od rana samego puszcza się Lutek na miasto. Co tu robić najsampierw – myśli sobie – chyba się odziać jak panicz.

No, dobrze; racja! Poszedł na Świętojerską, do sklepów z odzieżą, kupił sobie kapelusz, ubranie, palto. Szyk! Prawdziwy hrabia!

Idzie, pogwizduje, laseczką macha, bo i laseczkę se sprawił, nie wie co robić dalej.

Nie taka to łatwa sprawa wydać sto dukatów!

Sto dukatów! dla siebie samego!

Ha! trza pomyśleć!

A że to była już jakaś dziesiąta godzina, jeść mu się kaducznie zachciało. Jeść i jeść.

Młody, zdrowy, to i nic dziwnego, że głodny.

Wstąpił do gospody. Każe sobie dać kielbasy, kiszki, piwa, bułek.

Je, je, aż mu się uszy trzęsą. Najadł się tak, że mu chyba na trzy dni wystarczy, – Co się należy?

– Dwa złote.

– Dwa złote? Nie więcej?

– Dwa złote, paniczu, i przydałoby się z dziesięć groszy napiwku.

Wydajże tu sto dukatów, bądź mądry! Ano trudno! Trza jakości ten pieniądz wydać.

Pomyślimy!

Sypie ci Lutek na wycieczkę za miasto. Pojechał końmi do Wilanowa. Bryczkę wynajął na poczcie, koni czwórka, pocztylion gra na trąbce. Uciecha.

Przyjechał. Dał dukata odźwiernemu przy parku. Chodzi po ogrodzie. Napatrzył się, południe już minęło. Pora wracać! I znów jest w Warszawie. Co robić? Gdzie wydać pieniądze, boć wydał niespełna pięć dukatów.

Spojrzał. Afisz na rogu: Teatr Narodowy. Nie ma co! Chodźmy do teatru.

W teatrze bawił się setnie. Nie był w nim nigdy. Bo i skądże? Rzecz droga: miejsce dwa złote.

Wyśmiał się, ucieszył, wychodzi.

Późna już pora. Czasu do wydania pieniędzy niewiele, a Bóg świadkiem – nie wie Lutek, co z nimi zrobić? Idzie, rozmyśla. A gdy tak idzie, na rogu zaułka starzec stoi zgarbiony.

– Panie – powiada – drugi dzień mija, gdy nic w ustach nie miałem. Starym żołnierz, paniczu, pod Somosierrą byłem, pod Smoleńskiem, pod Moskwą, przy księciu Józefie pod Lipskiem – poratuj mnie!

Pojrzy Lutek na starca: inwalida bez ręki, a na piersiach błyszczą mu wstążeczki orderowe: Legia Honorowa i Virtuti Militari.

Sięgnął do kieszeni, wyciągnął garść złota, dał starcowi.

– Bóg-że ci zapłacić, paniczu! Bóg ci zapłacić! Będziesz szczęśliwy i bogaty!

Błysnęło! zagrzmiało!

Mignęła przed oczami Lutka księżniczka zaklęta.

– Nie dotrzymałeś obietnicy, nie dla siebie wydałeś pieniądze!

I znikła.

Rozejrzy się szewczyk: dziad stoi, jak stał poprzednio – i rzecze: – Nie dukat, paniczu, daje szczęście, ino praca i zdrowie. Ten pieniądz wart coś, co zarobiony, a darmocho na złe idzie.

Powrócił Lutek do domu rad i wesół. Ocknął się rankiem bez grosza w kieszeni. Wydał na siebie z dziesięć dukatów, a resztę oddał starcowi, ale też od tego czasu wiodło mu się, jak nigdy. Wyzwolił się wrychle na czeladnika, niebawem majstrem został, ożenił się z panienką piękną i zacną, dzieci wychował – i żył długie lata w zdrowiu, w dostatku i w szczęściu.

A o złotej kaczce słuch zaginął. I dzięki Bogu! bo zła to musiała być boginka, kiedy za warunek stawiała: sobie, nie komu!

Nie tak! nie tak myśleć i czuć po polsku trzeba! My rządźmy się inaczej: naprzód biednemu, potem sobie!

A wtedy przy każdej pracy Pan Bóg dopomoże.

KONIEC KSIĄŻKI